Nr. 302. Kraków, Poniedziałek 3 Listopada 1890. Rocznik II.

Przedpłata wynosi:
W Krakowie:
miesięcznie 1 złr., kwartalnie 3 złr., półrocznie 6 złr., rocznie 12 złr.
Za odnoszenie do domu dolicza się 15 cnt. miesięcznie.
Na prowincji i w całej monarchji Austro-Węgierskiej:
miesięcznie 1 złr. 35 cnt., kwartalnie 4 złr. półrocznie 8 złr., rocznie 16 złr.
Numer pojedyńczy 5 cnt.

KURJER POLSKI

wychodzi codziennie, a więc i w niedzielę, o godz. 8 rano.

Cena ogłoszeń:
Za wiersz petitowy, lub za jego miejsce, za pierwszy raz 10 centów, za następne po 5 centów. — Drobne ogłoszenia zwykłym drukiem po 2 cnt. od wyrazu, tłustym drukiem po 5 cnt. od wyrazu. Minimum ceny drobnych ogłoszeń 25 cnt. „Nadesłane“ po 20 cnt. od wiersza.

Adres dla telegramów: „KURJER“ — KRAKÓW.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: ulica Szewska Nr. 7, I. piętro.

Emigracja.

Niejednokrotnie zabieraliśmy już głos w sprawie wychodźtwa ludu naszego za granice kraju. Wychodząc z założenia, że emigracja jest zwykle naturalnym objawem społeczno-ekonomicznym i jako taki, nie da się powstrzymać, przemawialiśmy za tem, aby do wychodźców nie stosować środków policyjnych, lecz przez pouczanie powstrzymywać ich tylko od puszczania się na niepewne losy. Cały zaś prąd emigracyjny radziliśmy ująć w karby i skierować go tam, gdzieby lud nasz nie marniał materjalnie lub przynajmniej narodowo, lecz przeciwnie mógł stać się potężnym czynnikiem w naszem życiu narodowo-politycznem.

Głos nasz przebrzmiał na razie bez echa, a lud tymczasem coraz tłumniej wynosił się za morze. Zaraźliwa gorączka emigracyjna, która do niedawna grasowała tylko w Galicji i w Wielkopolsce, rozszerzyła się i na zabór rosyjski, gdzie przybrała wyraźnie charakter epidemji. Pojawili się tam bezimienni, wielką tajemnicą otoczeni ajenci, którzy całe wioski polskie przeprowadzają przez granicę pruską, transportują ciemny lud do portów niemieckich i belgijskich, aby go wyprawić do Brazylji lub Argentynji.

Na jakie trudy lud przy tem narażony, jak bywa wyzyskiwany—nie będziemy opisywali. Powiemy tylko, że okropne rzeczy, jakie opisywano przed sądem w Wadowicach, powtarzają się codziennie na wielką skalę na granicy prusko-rosyjskiej, na dworcach w Berlinie, Hanowerze, Bremie, Autwerpji i t. d. Nie dosyć na tem, bo na granicy przychodzi od czasu do czasu do starcia między rosyjską strażą a tłumami wychodzców. Świeżo doniosła *Posener Ztg.*, że na granicy powiatu nieszawskiego i Prus Zach. strażnicy zastrzelili kilku wychodzców a jedną kobietę ciężko ranili. Mimo licznych przeszkód wyszło w ciągu trzech miesięcy według urzędowej statystyki przeszło 80.000 osób z samego Królestwa Polskiego. Jest to przecież tylko część tych, którzy pospieszyli w strony nieznane, bo sam północno-niemiecki Lloyd przewiózł ich na swych statkach do Brazylji przeszło 100.000. Mamy obecnie dosyć dokładne wiadomości o tem, co dzieje się z wychodźcami w drodze do portów, ale od chwili, kiedy biedni wieśniacy postawią stopę na pokładzie okrętu, nie podobnem dowiedzieć się cośkolwiek o ich losie.

Co się z nimi dzieje w drodze i po przybyciu do Brazylji, Bóg wiedzieć raczy. Mieliśmy przecież sposobność rozmawiania z ludźmi, którzy odbyli podróż do państwa Dom Pedra w czasie gorączki emigracyjnej, jaka przed piętnastu laty panowała w Prusiech Zachodnich i dostarczyła kolonistów dla miasta Curitiby i okolicy, której następnie nadano nazwę *Nowa Polonea*. Emigracja wówczas również popierana była przez płatnych ajentów rządu brazylijskiego, który także opłacał koszta podróży morskiej.

Przeznaczone na ten cel okręty, były prawdziwem piekłem, bo przepełniono w nich nietylko drugo i trzeciorzędne kajuty, lecz nadto zamykano wychodźców do oddziałów, w których nigdy nie mieszkają ludzie a tylko balast się mieści. Ścisk tam był niesłychany a powietrze okropne, wskutek czego powstawały wśród wychodźców choroby, które ich nie dziesiątkowały, lecz nieraz trzecią część pasażerów skazywały na pożarcie przez morskie potwory. Wielu, zwłaszcza młodszych wychodźców, nie mogąc znieść trudów podróży — szukało ulgi w głębi bałwanów. Kiedy uroczyście ukazał się ląd i okręt zawinął do portu Rio de Janeiro, wstąpiła w serca wynędzniałych wychodźców otucha. Cieszyli się, że w „płynącym mlekiem i miodem“ kraju brazylijskim niebawem zapomną o przebytych trudach, ale ciężki spotkał ich zawód. Gdy okręt zarzucił kotwicę zjawiła się na jego pokładzie komisja sanitarna, która orzekła, że pasażerowie nie mogą wylądować, ponieważ zawlekliby do miasta zaraźliwe choroby. Policja rozporządziła wskutek tego, że wychodźców należy wysadzić na ląd w miejscu bezludnem. Niebawem podniesiono kotwicę i okręt ruszył się, aby wypłynąć napowrót na morze. Gdy to zauważyli wychodźcy, powstał wśród nich płacz, krzyk i zgiełk niesłychany — bo obawiali się, że wypadnie im po raz drugi przejść przez piekło, ktore co tylko przebyli. Kobiety błagały kapitana, aby nie wyjeżdżał z portu a mężczyźni grozili mu zemstą, ale bez skutku.

Zrozpaczeni zaczęli rzucać się do morza i to dopiero skłoniło zimnego maryarza, że wrócił do portu i wyjechał do miasta, celem wyjednania u władz upoważnienia do wysadzenia wychodźców. Skutek był taki, że pozwolono im opuścić okręt, ale nie puszczono ich do miasta, lecz pod strażą zapędzono do starego, opustoszałego śpichlerza, w którym przecież tylko część nieszczęśliwych znalazła pomieszczenie. Reszta zmuszona była obozować pod gołem niebem. Komisja sanitarna wybrała z pośród wychodźców kilkunastu „zdrowych“ i pozwoliła im pójść do miasta, celem zakupienia dla reszty wiktuałów i narzędzi rolniczych, poczem cały oddział odstawiono w okolice, będącego dopiero w zawiązku, a składającego się z nielicznych chat miasta Curitiba, gdzie im wymierzono po kawale ziemi do wykarczowania. Część wychodźców pogodziła się z losem, ale inni oburzeni na to, że ich tak oszukano, udali się z powrotem do Rio de Janeiro. Ponieważ komisja sanitarna już nie zwracała na nich uwagi, mogli swobodnie chodzić po stolicy, a za radą jakiegoś zamieszkałego tam od dłuższego czasu rodaka, poszli przed pałac cesarski, a następnie przed pałac następczyni tronu, błagając wśród głośnego płaczu o litość i sprawiedliwość.

Osiągnęli tyle, że za pośrednictwem jakiegoś żydka władze zaczęły się z biedakami układać. Zapytano ich, czy nie chcieliby pracować w porcie. Znalazło się kilkudziesięciu ochotników, których wraz z rodzinami odstawiono do miasta Bahia w północnej Brazylji, gdzie według listów, jakie później nadeszły do Europy, większa część wymarła na żółtą febrę. Ci, którzy pozostali w Rio de Janeiro, chodzili codziennie z płaczem przed pałac następczyni tronu, aż wreszcie ujął się za nimi miejscowy konsul pruski i ułatwił im powrót do ojczyzny. Nieszczęśliwi stanęli w stronach rodzinnych, gdzie niegdyś mieli się dobrze, bez grosza, o darci i o starganych siłach. Widzieliśmy także kilka osób, które w czasie podróży dostały pomieszania zmysłów i już nigdy nie odzyskały zdrowia.

Czy w ciągu lat piętnastu Brazylja ucywilizowała się na tyle, że rząd nie przyłoży ręki do rujnowania szczęścia tysięcy rodzin; czy rząd republikański będzie uczciwszy od rządu cesarskiego, trudno odgadnąć, — ale z tego, co emigranci zmuszeni są znosić w Europie, wnosić można, że za morzem czeka ich jeszcze gorsza dola, aniżeli tych, którzy przybyli tam przed piętnastu laty. Wszak jeden z tych, którzy już dotarli do Brazylji donosi do Mławy, że w czasie podróży, którą odbywało 700 wychodźców, po dwoje albo troje dzieci dziennie rzucano do morza, gdyż na okręcie panowała ospa.

Po przybyciu do Bahji dnia 20 września b. r. trzymano cały oddział przez kilka dni na wyspie a następnie zabrano przeszło 50 dzieci i znaczną liczbę dorosłych do szpitala.

Biedny nasz lud, nie znający języka krajowców, ani żadnego z więcej upowszechnionych języków europejskich, oddany jest w Brazylji na łaskę i niełaskę różnych oszustów.

Czas więc najwyższy, aby wysłać tam choćby kilku ludzi inteligentnych, którzyby służyli biednym naszym rodakom za opiekunów i pośredników. Organizowana przez posła Szczepanowskiego i towarzyszów wyprawa może wielkie przynieść korzyści, ale zanim przyjdzie do skutku, dziesiątki tysięcy ludu naszego znajdzie się bez opieki i ratunku. Niezbędna jest pomoc doraźna, której nie może udzielić choćby najzręczniejszy i najlepszemi chęciami ożywiony sprawozdawca dziennikarski. Sądzimy, że najdzielniej i najskuteczniej mogłyby tu działać potężne nasze zakony, które przecież mają dostatek ludzi, posiadających wszelkie kwalifikacje na opiekunów i przewodników emigrantów, a organizacja zakonna daje możność szybkiego działania. Nie wątpimy, że niebawem pośpieszy do Brazylji i Argentynji po kilku zakonników, aby biedny lud nasz otoczyć opieką i czuwać nad jego moralnem i materjalnem dobrem, a zarazem przygotować materjały dla ekspedycji, która zająć się ma zbadaniem ekonomicznego stanu Brazylji i sąsiednich krain, celem wskazania wychodźcom, gdzie z największą dla siebie korzyścią osiedlać się powinni.

Teatr.

Oj mężczyźni, mężczyźni!

Komedja w 4-ch aktach Kazimierza Zalewskiego.

Jeżeli pisać rzecz lekką, to tak pisać, jak Kazimierz Zalewski, w sztuce, którą teatr nasz wystawił w sobotę. Wziąć temat drażliwy, umieć go na scenie podać w całej nagości, a przecież nie wywołać niesmaku; naciągnąć strunę sytuacji do możliwych granic, a jednak jej nie zerwać, przesunąć przed okiem widza szereg obrazów o treści prawdziwej bardzo ale nadzwyczaj trudnej do uwydatnienia, stworzyć jednem słowem rzecz pełną szczegółów zaczerpniętych z tolerowanych tajemnic życia — wszystko to zrobić, jawnie na widok publiczny wyprowadzić i nie zbankrutować, jest procesem, który nie każdy autor przed trybunałem zgromadzonej publiczności wygrać potrafi. Nazwałbym takie przeniesienie zakulisowych spraw życia na scenę — kontrabandą artystyczną; ale wówczas przyznać należy, że przemytnik posiada niepospolity zmysł wybierania ścieżek dla strażnika niewidocznych, któremi swój towar zagraniczny bez cła do składu teatralnego repertuaru wprowadza. Lecz w danym razie mamy do czynienia z głębszemi racjami ze względu, że autor rozpatrywanego utworu nie może być sądzony według zwykłej normy, stosowanej do tuzinkowych robotników różnych fars i zabawek scenicznych.

Kazimierz Zalewski ma dziwnie bystry wzrok, pozwalający mu podpatrywać naturę w jej najróżnorodniejszych objawach i posiada instynkt artystyczny, który mu służy, jako przewodnik w wyborze faktów. Autor długiego szeregu głęboko pomyślanych komedyj, zna gruntownie społeczeństwo warszawskie i umie je malować barwami najprawdziwszemi. Bogate mieszczaństwo stolicy znalazło w Zalewskim swego bjografa. Każdy utwór, jaki w tym kierunku wyszedł z pod pióra autora: „Małżeństwa Apfel“ i „Naszych zięciów“, tchnie taką prawdą życia, że kiedy człowiek ujrzy całą tę galerję typów, stwierdzi, co leży na dnie duszy warszawskiej *burżuazji*. Ujomnym wykwitem tych warunków jest bez wątpienia taka Amelja Tichard, główna postać sztuki „Oj mężczyźni, mężczyźni!“ Nie dziwi nas wcale, że w rozwoju twórczości Zalewskiego spotykamy, lekką, czy jak chcą niektórzy, lekkomyślną rzecz, jaką ma być świeżo wystawiona sztuka. Odskok to tylko pozorny.

Talent Zalewskiego nie skrzywił się tutaj, ani zniżył — poszedł jednak drogą koniecznego rozwoju i musiał dotknąć kwestji o ile drażliwej, o tyle prawdziwej i żywotnej. Malarz obyczajów pewnych sfer warszawskich, nie mógł pominąć milczeniem rezultatu tak dobrze znanych zboczeń moralnych. Chodziło tylko o to, jak się wywiązać z zadania: czy moralizować, czy przedstawić nagą rzeczywistość? Upodobania i własne przekonanie skłaniały niezawodnie autora do pójścia drogą pierwszą, ale zmysł artystyczny ostrzegł go, że moralizatorstwo może nie poskutkować a sztukę zabić. Stało się więc, że mamy utwór, który sam w sobie wzięty może mieć cechę niemoralną, lecz sprowadzony do zasadniczego znaczenia, nabiera wyrazu poważnego. Fakty przedstawione w komedji „Oj mężczyźni, mężczyźni!“ mają — zdaniem naszem — rację bytu w twórczości Zalewskiego głębiej umotywowaną, i przez to nie mogą stanowić wyrzutów dla jego autorskiego sumienia.

Tak zrozumiana najnowsza komedja znakomitego pisarza, daje materjał do dokładnego zbadania, jakiemi są konsekwencje pewnych zjawisk w pośród warszawskiego społeczeństwa. I tutaj dopiero poznajemy wszystkie ognie namiętności, wybuchające w komedji Zalewskiego. Wszystko tu tryska humorem i blaskiem wesołości, a jednak mimowoli osiada w sercu troska a w duszy niepokój...

Amelja Tichard, wzięta żywcem z bruku warszawskiego, niepotrzebnie nosi francuzkie nazwisko. Takich *dam* w Warszawie jest mnóstwo, nie cudzoziemek wcale. Mniejsza o to, dość, że widzimy na scenie ową postać niegdyś przez Dumasa wprowadzoną do teatru, tylko od „Damy kameljowej“ daleko moralniej na publiczność działającą, bo pozbawioną zupełnie poezji, w której aureolę przyoblekł ją sławny paryski obrońca upadłych istot. Widzimy Amelję działającą i ta akcja wyciska właśnie na komedji Zalewskiego piętno dramatyczne. Mężczyźni lgną do niej, a ona wszystkich z wyrafinowaną maestrją do ostatnich granic wyzyskuje. Ma przecież jedną pasję, której ulega: jest to miłość do skoczka cyrkowego, Alberta Dauma, który ją w zamian rujnuje.

Szczegół ten, psychologicznie wierny, pomaga do charakterystyki całej duszy albo raczej braku jej w Amelji. Około tej postaci skupiają się inne osoby komedji: wszystkie męzkie znajdują się w związku bezpośrednim, żeńskie zaś wciąż są zmuszone o niej myśleć. Konsekwentnie przeprowadzona główna myśl utworu, niedyskutowana lecz oparta na faktach, widnieje w komedji i nadaje jej cechę niezaprzeczalnej prawdy; tak się w istocie na świecie dzieje. Poczytujemy autorowi za zasługę, że nie obwijał prawdy w bawełnę, że skoro zdecydował się dotknąć tych spraw, nie kierowała nim fałszywa pruderja. Przyznajemy, że obraz jest nagi — lecz w swej szczerości ma odkupienie. Tyle o komedji Zalewskiego w krótkich ramach niniejszej recenzji powiedzieć się dało ze strony tendencji utworu; przechodząc do formy, do techniki scenicznej i wogóle całego obrobienia sztuki, zaznaczyć musimy bezwzględny hołd nasz dla talentu autora. Komedja przedewszystkiem iskrzy się od dowcipu, pobudza ustawicznie do śmiechu, zaciekawia i bawi. Znać, że komedję pisał mistrz dramatyczny, który zna wszystkie tajniki swego kunsztu. Z kilku drobnych i niewyszukanych, może nieuzasadnionych motywów na początku sztuki (trzy listy, pisane przez Amelję, odczytanie ich etc.) zdołał Zalewski stworzyć cztery akty, pełne życia, werwy i humoru. Podejrzenia dwóch żon, wykręty mężów, interwencja rodziców, śledztwo i dochodzenie wierności, fortele wszystkich osób, zręczność i kokieterja damy Tichard, jej wpływ na najstalsze na pozór usposobienie mężczyzn, powszechny zamęt w tem kole — oto czynniki, towarzyszące rozwojowi komedji od początku do końca Wujaszek Bisturkiewicz, stary kawaler, w którym djabeł jeszcze pali, ofiara wszystkich, nawet Amelji; Katon Kretoński, wzięty na udany sentyment panny Tichard; obaj mężowie: Łaszowski i Czempieliński; lokaj Bisturkiewicza i skoczek Daum, narysowani są przepysznie i dowcipnie. Role kobiece: Amelja Tichard, dwie mężatki, stara Cieciurkowska mają swoje granice, w których obracają się z łatwością, dzięki wybornej akcji. Wszystkie zaś te postacie, w sytuacjach komicznych postawione, rozporządzają całą masą niewyczerpanego humoru. Nikt tutaj się nie zastanawia, nie moralizuje: źle czy dobrze, ale tak się dzieje — konstatuje autor i nie dodaje żadnych uwag od siebie. Powie, albo już powiedział gdzieindziej, w innej komedji, że tak być niepowinno że musi nastąpić odmiana obyczajów, tu jest tylko malarzem tych obyczajów — malarzem, którego pędzel, farby i skończone płótno mienią się odblaskami prawdziwego życia.

Komedję, wobec tłumów publiczności wystawiono na naszej scenie bardzo porządnie. W tej obsadzie ról, jaka była, należy zanotować pracę i staranność reżyserji. P. Żelazowski w ciągu ostatnich kilku przedstawień dowiódł, że pojmuje obowiązki reżysera sumiennie i że nad wypróbowaniem sztuki gorliwie pracuje. I w wykonaniu komedji „Oj mężczyźni, mężczyźni!“ znać było rękę reżysera. Przechodząc z kolei do pojedyńczych wykonawców, mamy do zapisania ogólną staranność artystów, którzy grali z miarą i powściągliwością. Podkreślamy tę okoliczność, ponieważ najmniejsza przesada byłaby w tak drażliwych sytuacjach raziła bardzo. Otóż artyści ustrzegli się tego. Z panów najtypowszą postać stworzył Ruszkowski, grający rolę Kretońskiego. Wartoby specjalnie przyjrzeć się interpretacji tego artysty, ale nie mamy na to miejsca. Pan Solski, w roli lokaja, miał spryt, śmiałość i nieodzowną tutaj czelność. P. Siemaszko z wujaszka Bisturkiewicza zrobił dobrą figurę; dobrymi też mężami byli pp. Żelazowski i Sobiesław. Epizodyczną rolę skoczka odegrał p. Antoniewski wcale zręcznie. Z postaci kobiecych najcięższe zadanie miała do zwalczenia pani Siennicka. Rola Amelji Tichard obfituje w trudności nie małe i wymaga od artystki warunków fizycznych i inteligencji. Otóż pani S. odtworzyła tę postać trafnie z dobrze pojętym realizmem, a uniknęła również bardzo szczęśliwie nastręczających się z roli samej nadużyć. W pojęciu i przeprowadzeniu postaci Amelji Tichard, pani Siennicka wykazała najdokładniej rodzaj swego talentu; w kreacjach, wymagających wielkiego zasobu sprytu i kokieterji, w zakresie bardzo wdzięcznym, ale wymagającym specjalnego uzdolnienia, ma nowa artystka nasza pole otwarte do działania: po ostatniej roli można ten horoskop śmiało postawić. Dodać jeszcze należy, że w akcie trzecim, artystka miała bardzo odpowiednią do roli, a bardzo gustowną toaletę. Panie: Siemaszkowa i Sułkowska, jako żony broniące swych praw, były szczere w oburzeniu; pierwsza przywiązanie do męża okazywała serdecznie, druga w zaciętości miała werwę prawdziwą. Pani Wojnowska zawsze wywiąże się z zadania bez zarzutu. Panna Kmin była bardzo szczęśliwą i miłą pokojówczką.

Scena wyglądała gustownie — co z przyjemnością zaznaczamy.

Adam D[?]rowolski.

Kronika miejscowa.

WIADOMOŚCI KOŚCIELNE.

* Dziś dnia 3 listopada obchodzi Kościół katolicki Dzień Zaduszny. Nabożeństwo d[illegible]jsze ustanowione jest na ten cel, abyśmy [illegible]ieśli ratunek wszystkim duszom w czyśćcu zatrzymanym, ofiarując na wypłacenie ich długu zasługi dobrych naszych uczynków. Obrany został na to dzień następny po uroczystości Wszystkich Świętych, aby tem wyraźniej przypominać nam, dzieciom kościoła, jeszcze wojującego, ścisły nasz związek i jedność z kościołami trjumfującym i cierpiącym, a które razem stanowią jeden powszechny Kościół.

Kalendarz. Dziś: Dzień Zaduszny; jutro: św. Karola Boromeusza, biskupa.

Kalendarz historyczny. 3 listopada 1370 roku: Śmierć Kazimierza Wielkiego. — 1771 roku: Porwanie z Warszawy króla Stanisława Augusta.

Dzień zaduszny jest od dawnych czasów „świętem“ nieboszczyków, bo w kościołach wznoszą się modły za spokój ich dusz, a miejsce spoczynku ich ciał zwykły rodziny przyozdabiać w wieńce i zapalać tam światła. Pesymiści utrzymują, że często ludzie przyozdabiają groby tylko, aby uczynić zadość swej próżności i popisać się przed światem czułością. Być może, że są i tacy, ale nie trudno ich poznać, nie trudno odgadnąć, czy wieńce na grobie składała ręka kochającej żony lub córki, czy też zimnej kokietki. Otóż, na cmentarzu rakowickim pobyt tej ostatniej prawie wcale nie był widoczny. Natomiast zauważyliśmy wielką liczbę grobów, które przyozdobione i oświetlone były skromnie, ale łatwo było domyśleć się, że nie było to dzieło służby, lecz osób, które nieboszczyków kochały i po za grobem pozostały im wierne. Cały cmentarz jaśniał wczoraj wieczorem tysiącami świateł, a mało było grobów opuszczonych, bo nawet najbiedniejsi zapalali po kilka świeczek na grobach miłych sercu swemu osób.

Najwspanialej były oświetlone: zbiorowy grób weteranów z roku 1830/31 i miejsce wspólnego spoczynku poległych w r. 1863 rodaków. Młodzież odśpiewała tam wieczorem hymny religijno-narodowe. O zmroku odbyła się po cmentarzu procesja a duchowieństwo odśpiewało na różnych jego punktach pienia żałobne. Powiedział ktoś, że stan, w jakim bywają utrzymane cmentarze i cześć oddawana umarłym są miarą cywilizacji danego narodu. Jest w tem twierdzeniu dużo racji, bo przecież wiadomo, że narody nieokrzesane, że nawet nasi wieśniacy nie bardzo się troszczą o swe cmentarze. Na naszym cmentarzu nieładu nie widać a nie brak tam dowodów, że pamiętamy o naszych nieboszczykach. Objaw to bardzo pocieszający.

Pogrzeb ś. p. prof. M. Nowickiego. W sobotę złożono do grobu zwłoki ś. p. profesora Maksymiljana Nowickiego, nieodżałowanego pracownika na polu fauny krajowej. Cały świat inteligentny Krakowa, począwszy od prezesa Akademji umiejętności, dra Majera, oraz profesorów Uniwersytetu niemal w komplecie, przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, obywatelstwo i mieszczaństwo — wszyscy pośpieszyli oddać ostatnią posługę znakomitemu mężowi, którego sława rozniosła się daleko po za granice kraju.

O godz. 3 popołudniu wyruszył kondukt, prowadzony przez ks. prof. Pelczara w asystencji licznego kleru, z domu przy ul. Krowoderskiej l. 40. Przed duchowieństwem postępowały deputacje młodzieży akademickiej z wieńcami: Od „Czytelni akad.“, „Akademicznej Hromady“, „Tow. Bratniej pomocy“, „słuchaczy Wydziału filozoficznego“, „słuchaczy I-go roku medycyny“, od „farmaceutów“, itd. Trumna nadto zasypaną była pięknemi wieńcami: „Od rodziny“, „Profesorów Wydziału filozoficznego“, „Przyjaciół zmarłego“, „Tow. rybackiego“ (które reprezentował pełny zarząd z prezesem Kulczyckim na czele. Chór akademicki śpiewał pieśni żałobne. Przed karawanem szli również pedele z berłami uniwersyteckiemi, pokrytemi krepą.

Kondukt podążył ul. Sławkowską, Rynkiem głównym, Florjańską wprost na cmentarz rakowicki. Tutaj od bramy ponieśli do grobu drogie szczątki profesora — akademicy. Nad grobem, po odprawieniu mo-

dłów przez ks. prof. Pelczara i żałobnych pieniach chóru, pierwszy przemówił prof. dr. Rostafiński, imieniem Akademji umiejętności i profesorów Wydziału filozoficznego.

Mowca zaznaczył na wstępie trudności, jakie zwalczać musiał nieboszczyk, zanim otwarła się przed nim droga do rozleglejszej pracy. Była to zawsze praca, pełna poświęceń i ideałów, płynąca z głębokiego przywiązania do kraju i z miłości dla nauki. Niezmordowany „szermierz wiedzy faunistycznej" nigdy nie gonił za zarobkiem, lecz wszystkie swe zasoby intellektualne składał w ofierze nauce i ojczyźnie. Kiedy przed 2 laty święcił rzadki jubileusz ćwierćwiekowej pracy nauczycielskiej — wszyscy nieśli mu w darze żywe, pełne gorącego uznania wyrazy czci i bili pokłon przed powagą naukową. Była to najpiękniejsza chwila w życiu zmarłego, życiu nie usłanem kwiatami, lecz głogiem i cierniami.

Z kolei podniósł mowca niespożyte zasługi ś. p. dra Nowickiego, położone około stworzenia w Galicji i podniesienia do wysokiego stopnia kultury gospodarstwa rybnego. Stoi on w jednym rzędzie obok Pietruskiego i Łoborzewskiego. Nietylko kraj, lecz i zagranica potrafiła ocenić działalność ś. p. Nowickiego w tym kierunku. Dowodem tego szerokiego uznania, liczne zagraniczne medale i dyplomy honorowe. Zmarły należał do starszej generacji profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu, jak i Akademji chlubę przynosił.

Ak. St. Grzybowski pożegnał drogie szczątki imieniem krakowskiej „Czytelni akad." Młodzież w głębokim smutku patrzy na ustępującego z pośród niej profesora i ukochanego kierownika. Imieniem uczniów farmaceutów przemówił p. Józef Pieniążek a zakończył temi słowy: „Żegnamy po raz ostatni tę powłokę cielesną tylko, którą składamy w łonie matki ziemi, bo duch Twój w nas żyje, odradza się i płomienieć będzie na sławę Twoją i cześć zasłużoną, bodaj wiecznotrwałą".

Ostatni z mowców adwokat dr. Wilkosz, imieniem wydziału „Towarzystwa rybackiego" podniósł specjalnie zasługi nieboszczyka około rozwoju ichtjologji w ogóle a głównie jego płodną działalność w krakowskiem Towarzystwie rybackiem. Ono odczuwa świeżą stratę boleśnie i oby się znalazł wkrótce człowiek, któryby mógł dzieło mistrza godnie dalej poprowadzić.

Smutnemu obchodowi, który skończył się o godzinie $5^{1}/_{4}$ wiecz. towarzyszyła prześliczna aura.

Prymicje. W dniu wczorajszym odprawił o godz. wpół do 11 rano w kościele św. Katarzyny na Kazimierzu pierwszą mszę św. ks. Alojzy St. Polak, nowowyświęcony członek Zgromadzenia OO. Augustjanów.

C. k. Sąd krajowy karny w Krakowie, jako prasowy, zatwierdził konfiskatę nr. 290 *Kurjera Polskiego* za artykuł, p. t.: „Upadek Krakowa".

Od komitetu, urządzającego wieczorek Mickiewiczowski, otrzymujemy następujące pismo: „Zawiązany przez Czytelnię akademicką komitet wieczoru Mickiewicza, zaprosił Towarzystwa: Wzajemnej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chór akademicki, Bibljotekę prawników i Bibljotekę medyków do wzięcia udziału w komitecie przez swoich delegatów.

P. Helena Modrzejewska, po jednodniowym pobycie w naszem mieście, wyjechała w sobotę wieczorem do Lwowa, gdzie około 10 b. m. rozpoczyna szereg gościnnych występów.

Franciszek Streitt, znakomity malarz, gościł przez cztery tygodnie w okolicy Krakowa, gdzie zbierał studja z natury. Z naszego miasta wyjechał obecnie na Węgry, w okolice zamieszkałe przez cyganów, których artysta z zamiłowaniem i sumiennie bada i typy ich na płótno przenosi.

Artyści teatru krakowskiego przesłali w sobotę zbiorowy telegram gratulacyjny p. Józefowi Grzywińskiemu, artyście dramatycznemu teatrów warszawskich, który obchodził tegoż dnia jubileusz 25-letni swej działalności scenicznej.

Posiedzenie członków zjednoczonej dyrekcji Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie odbyło się w sobotę o godzinie 12 tej w południe w lokalu Towarzystwa. Na posiedzenie to przybyli ze Lwowa dwaj delegaci tamtejszej filji pp. Wł. Bełza i adw. dr. Till. Najważniejszą z omawianych kwestyj była sprawa organizacji w trzech kancelarjach Towarzystwa: Lwowskiej, krakowskiej i poznańskiej, stałej sprzedaży dzieł sztuki na raty, w myśl projektu lwowskiego. W zasadzie zgodzono się na taką sprzedaż, a do sformułowania poszczególnych punktów obrano komisję złożoną z pp. prof. dra Jordana, dra Pieniążka, Z. hr. Cieszkowskiego, Piotra Stachiewicza i St. Tomkowicza. Większość obecnych oświadczyła się za sprzedażą obrazów z gwarancją, t. j. za tem, aby Tow. w razie zgłoszenia się amatorów i zaliczenia przez nich pierwszej raty, spłacało artystę zupełnie. Uchwalono w dalszym ciągu zakupić następujące obrazy: Alchimowicza „Most Spadowice", Aksentowicza „Rumeljotka", W. Gersona „Jaskinia", Kotowicza „Plain air", Kędzierskiego „O zmroku", Łuskiny „Studjum niewiasty", Picarda „Iwan Groźny", Rybkowskiego „U przewozu", Styki „Czarnogórka", Trojanowskiego „Owoce", Tondosa „Most Karola w Pradze", Tetmajera „Gracze", Zawiejskiego „Chłopiec z muchą na nosie", Krzesza „Zwyciężył — zginął" — razem 14 obrazów za 2425 złr. Nadto postanowiono dopłacić p. Kasprowi Żelechowskiemu za obraz zakupiony w lipcu p. t.: „Wywłaszczenie" — 50 złr.

Z wystawy. W dniu wczorajszym światło elektryczne na wystawie Sztuk Pięknych zajaśniało nareszcie w pełni i przynajmniej w czasie między godziną $7^{1}/_{2}$ — $8^{1}/_{2}$ wieczorem, żadnych „sztuczek" nie urządzało. Publiczność zebrała się licznie a orkiestra wojskowa sprawiała się dzielnie. Portret Artura hr. Potockiego, dzieło Matejki i rzeźba w bronzie Wojtowicza, oto dwa główne magnesy, ciągnące obecnie na wystawę i przykuwające do siebie oczy. Portret nosi cechy wszystkich Matejkowskich portretów; posąg dłuta młodego rzeźbiarza jest bezwątpienia jednem z najwybitniejszych dzieł sztuki. Zwracają także uwagę na siebie: portret p. Mieczysława Pawlikowskiego, malowany przez pannę Anielę Pająk, bardzo podobny; Piotrowskiego naturalistycznie traktowany obraz „Na rekolekcji" i Włodzimierza Tetmajera rodzajowy obrazek „Gracze".

REPERTUAR TEATRU KRAKOWSKIEGO.

We wtorek 4 listopada: Po raz trzeci: *Oj mężczyźni, mężczyźni!* komedja w 4 aktach Kazimierza Zalewskiego.

Ostatnie telegramy „Kurjera Polskiego"

Olsztyn na Warmji 3 listopada. Katolicy naszej dzielnicy rozpoczęli agitować na korzyść Jezuitów. We wszystkich parafjach zbierają się podpisy pod petycję do parlamentu, z żądaniem zniesienia ustawy wydalającej Jezuitów z granic Rzeszy.

Pelplin pod Gdańskiem 3 listopada. Zarząd świeżo założonego „Katolickiego Tow. ludowego" przedstawił się księdzu biskupowi, wręczając mu statut z prośbą o błogosławieństwo. Ks. biskup przychylił się do tej prośby, wyraziwszy swą radość, że powstała nowa instytucja, oparta na zasadach czysto-katolickich.

Chojnice (w Prusiech Zach.) 3 listopada. Z powodu ostrych uwag dzienników, dyrektor gimnazjum chojnickiego, który jest Niemcem, odebrał synowi swemu przeznaczone wyłącznie dla Polaków stypendjum Raczyńskiego i przyznał je medykowi Janowi Szukalskiemu z Tucholi, Polakowi.

Berlin 3 listopada. Kiedy cesarz wczoraj wieczorem wracał powozem z teatru, spłoszyły się obydwa konie. Cesarz wyskoczył z powozu, nie odniósłszy żadnej szkody.

Berlin 3 listopada. Obchody jubileuszowe nie wyszły Moltkemu na zdrowie. Zasłabł on nazajutrz po ich ukończeniu i dziś jeszcze nie zdołał odzyskać sił. Urzędowe buletyny zaręczają, że pacjent niebawem wyzdrowieje, ale lud berliński bardzo obawia się o swego ulubieńca.

Berlin 3 listopada. Uchwały komisji zwołanej dla zbadania sprawy ugody handlowej niemiecko-austrjackiej, zostaną prawdopodobnie niebawem zakomunikowane wiedeńskiemu urzędowi spraw zewnętrznych.

Berlin 3 listopada. „Kölnische Ztg" donosi, że landraci we wschodnich prowincjach państwa pruskiego wydali rozporządzenie, aby zaraz po ukończeniu zbioru kartofli robotnicy i robotnice polsko-rosyjskiej narodowości (!) zatrudnieni w odnośnych okręgach podczas ubiegłego lata, zostali uwolnieni i odesłani w strony rodzinne. Gdyby który robotnik nie chciał wracać dobrowolnie, należy go odstawić przez żandarmów do granicy. Do dnia 15 listopada mają wszyscy robotnicy polsko-rosyjscy opuścić granice państwa pruskiego.

Wiesbaden 3 listopada. Książe nassauski ma dziś przybyć do Luksemburga, aby objąć rządy księstwa.

Rzym 3 listopada. Dzienniki poświęcają krótkie uwagi przesileniu ministerjalnemu w Grecji, i prawie jednomyślnie sądzą, że Deljanis, skoro napowrót dostał się do steru rządów, zmuszony koniecznością będzie musiał złagodzić polityczne zachcianki swojego stronnictwa. Zresztą Europa będzie umiała strzedz interesów prawdziwego pokoju.

Belgrad 3 listopada. Były wiceprezydent klubu radykalnych Maximowicz ogłosił artykuł, w którym twierdzi, że wykluczenie jego z klubu radykalnych spowodowała zarozumiałość przywódcy stronnictwa Pasicza, który dąży do dyktatury.

Ateny 3 listopada. Delyannis powiedział deputacji Kreteńczyków, że do uregulowania spraw wyspy potrzeba zgody Europy. Środki pokojowe są pożądane. Najlepiej byłoby zwołać nowy kongres.

Melbourne 3 listop. Zgromadzenie prawodawcze kolonji Victoria udzieliło rządowi votum nieufności. Ministerjum utworzone przez Gilliesa podało się do dymisji. Przyczyną upadku rządu jest ustąpienie znacznej liczby deputowanych-robotników, podlegających wpływom inicjatorów strejkowych.

Nowy Jork 3 listopada. Hr. Paryża wyjechał do Anglji.

Konstantynopol 3 listopada. Kefaliści wyłamali drzwi zamkniętej z polecenia patrjarchy cerkwi na przedmieściu Gulata i odprawili nabożeństwo bez duchownego.

Londyn 3 listopada. Wybory do Rad miejskich wypadły przeważnie pomyślnie dla konserwatystów.

Wydawca i redaktor główny: Dr. [illegible] Orłowski; Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. Jana Gadowskiego. Odpowiedzialny za Redakcję: Fran[illegible]